

Ray Bradbury's Fahrenheit 451



[Recenzja] "451 stopni Fahrenheita"

nimfa bagienna



A mogło być tak pięknie...

Jednym z najbardziej nadużywanych ostatnimi laty słów jest bez wątpienia określenie „kultowy”. Wystarczy, że coś przyciągnęło uwagę na dłużej niż tydzień, a już staje się kultowe. A przecież są dzieła – książki, filmy, komiksy – które naprawdę słusznie zdobyły status kultowych. Jeśli jakaś powieść zasługuje na to miano, to jest nią bez wątpienia „451 stopni Fahrenheita” Raya Bradbury’ego. Po tę właśnie, niezwykle mocno zakorzenioną w kulturze pozycję, sięgnęli twórcy filmu „451 stopni Fahrenheita”.

Ekranizacja książki-ikony, to dla producenta decyzja tyleż kusząca, co ryzykowna. Z jednej strony film ma ułatwiony start – rozpoznawalny tytuł zdecydowanie ułatwia pracę specom od promocji, z drugiej – gotowe dzieło musi sprostać naprawdę wysokim oczekiwaniom fanów.

Producenci zdawali sobie z tego sprawę, bo postanowili nie oszczędzać na obsadzie i zatrudnić prawdziwe gwiazdy. Michael Shannon (Beatty) oraz Michael B. Jordan (Guy Montag) to największe plusy tego projektu. Obaj panowie dają z siebie wszystko. Robią, co mogą, by jak najwięcej wycisnąć ze scenariusza. To popis aktorski, dla którego warto obejrzeć „451 stopni Fahrenheita”. Gorzej, że nie bardzo jest z czego wyciskać.

Ktoś (producent? reżyser?) wpadł na skądinąd mało oryginalny pomysł, aby uwspółcześnić dzieło, przesuwając akcję w czasie. I tak wydarzenia opowiedziane w filmie umieszczono w niedalekiej przyszłości, ale nie takiej, jaką widział Bradbury, lecz takiej, jaką możemy antycypować na podstawie tego, co widzimy tu i teraz. Myślę, że właśnie ta decyzja pchnęła całe przedsięwzięcie na złą drogę.

Na wszelki wypadek, gdyby ktoś nie znał lub nie pamiętał książki, przypomnę, że rzecz dzieje się w świecie, gdzie zakazano posiadania (i oczywiście czytania) książek, a strażacy zamiast gaszeniem pożarów zajmują się owych książek paleniem. Coś, co na początku lat 50. ubiegłego wieku miało sens (pierwsze wydanie „451 stopni Fahrenheita” w USA to rok 1953), obecnie wydaje się, mówiąc delikatnie, mało rozsądne. Jakie zagrożenie w dobie powszechnej cyfryzacji może stanowić kilka drukowanych tomów ukrytych na strychu? Jakiż to ma zasięg? Czy naprawdę jest aż tak groźne dla władzy? Twórcy filmu mieli do wyboru różne drogi. Mogli potraktować palenie książek symbolicznie, mogli inaczej wykreować świat przyszłości – tak, by akcje strażaków miały sens – mogli jakoś uzasadnić ich działania. Niestety, poszli na łatwiznę i wpadli w pułapkę dosłowności. Co gorsza, to nie jedyna zmiana, jakiej dokonali scenarzyści.

Już w czołówce napisy początkowe informują widza, że ma do czynienia z filmem „na motywach”. Zatrzymajmy się na chwilę nad tym stwierdzeniem. Nie „na podstawie” lecz właśnie „na motywach”.

Słowa te dobrze oddają ducha produkcji. Z prozy Bradbury'ego zaczerpnięto kilka pomysłów, natomiast mnóstwo wątków i postaci wyrzucono, zastępując je innymi, powiedzmy to szczerze, gorszymi.

„451 stopni Fahrenheita” to powieść raczej kameralna, skupiona na wewnętrznej przemianie głównego bohatera i analizie współczesnego autorowi społeczeństwa. Twórcy filmu uznali, że to za mało, i postanowili zmienić proporcje, dodać więcej akcji. Jest to szczególnie widoczne w drugiej części filmu, gdzie obserwujemy głównie pogoń za członkami tajemniczej organizacji Omnis. Nie będę rozwijać tego wątku, by nie popsuć przyjemności tym, którzy zdecydują się film obejrzeć. Pozwolę sobie jedynie zasygnalizować, że cały concept działania Omnis uważam za absurdalny i naiwny. I znowu metaforyczny tekst Bradbury'ego spłycono bolesną dosłownością i zupełnie zbędnym unowocześnieniem.

Równie brutalnie potraktowano bohaterów. Bezwzględnie wycięto ważne postacie (w filmie w ogóle nie ma Mildred, żony Guya!), a te, które ocalały, zostały niemiłosiernie spłycone. Motywacje działań bohaterów są banalne na granicy kiczu. Relacjom między postaciami brakuje głębi. Doprawdyż aktorom – szczególnie Shannonowi – należą się ogromne brawa za to, że jakoś uratowali mierny scenariusz, nadrabiając grą dziury i nielogiczności. Obu panom udało się nieco ożywić papierowe role, tchnąć duszę w grane postacie i sprawić, że widz jednak przejmuje się ich losem. Panowie, zarobiliście uczciwie każdego centa, którego zainkasowaliście za udział w tej produkcji!

Wróćmy jeszcze na chwilę do zmian wprowadzonych przez autora scenariusza. Analizując niektóre z nich, dochodzę do wniosku, że Bahrani (reżyser i twórca scenariusza – takie dwa w jednym) zupełnie nie zrozumiał oryginalnego tekstu. I znowu, aby nie zdradzić za dużo, przytoczę tylko jeden przykład. Zastępując scenę kameralnej śmierci (w powieści śmierć staruszki widzi tylko kilku strażaków) aktem publicznego samospalenia transmitowanym na ekranach w całym mieście, przekształcono moralny protest garstki intelektualistów-bibliofilów w desperackie działanie ruchu oporu. Zamiast cichych strażników kultury i tradycji, dostajemy coś na kształt dzielnych partyzantów. Aż się zaczęłam bacznie przyglądać, czy aby zza węgła nie wychynie słynny beret *Che*.

Twórcy filmu chyba sami dostrzegli, jak płytki serwują nam przekaz, bo postanowili dodać mu głębi dość nachalnymi cytataми z Dostojewskiego, Joyce'a i Steinbecka. A że zrobili to z subtelnością T-34, nad co niektórymi scenami, zamiast planowanej refleksji, unosi się jedynie niemiły smrodek dydaktyczny.

Trochę to smutne, bo na wejściu mieliśmy wszystko, czego potrzeba, by powstał ciekawy film: dobry tekst, dobrych aktorów i przyzwoity budżet, a na wyjściu niestety powstał przeciętniak, który można bez bólu obejrzeć, ale i bez większej straty można sobie darować. A mogło być tak pięknie...

Agnieszka Chodkowska-Gyurics

Tytuł: „451 stopni Fahrenheita”

Reżyseria: Ramin Bahrani

Premiera: 12 maja 2018 (świat)